

MEANDRY POLITYKI - *Michał Stefański* (wyemitowane 7 lipca 2019 - [posłuchaj](#))

WOLA LIDERA CZY RZĄDY PRAWA?

Najpierw cytuję z wypowiedzi Briana Mercurio, profesora międzynarodowego prawa handlowego na Chińskim Uniwersytecie Hong-Kongu komentującego przebieg aktualnej wojny celnej między Chinami kontynentalnymi a USA: "Nie jest jasne czego chcą Stany Zjednoczone: czy dostępu do rynku chińskiego, czy chodzi im o prawa własności intelektualnej i wymuszenie transferu najnowszych technologii, czy restrukturyzację całej gospodarki Chin.[...] Jak na razie, Chiny rozgrywają to starcie bez pośpiechu, bez nagłej konieczności jego zakończenia. Tam u nich na górze mówią pewno tak: skoro USA nie wie samo czego chce, to po co ustępować?".

Oczywiście gdyby spytać prezydenta Donalda Trumpa jaki był pierwotny powód nałożenia ceł amerykańskich na liczne produkty wytwarzane w Chińskiej Republice Ludowej, odpowiedź (cokolwiek ogólnikowa) przyszłaby błyskawicznie - po to aby przywrócić wielkość Ameryce. Główny lokator Białego Domu najpewniej jeszcze do tego by dorzucił uroczyste ślubowanie, że nie pozwoli się okradać reszcie świata. Po szczegóły, jak zwykle, należałoby udać się do ekspertów ekonomicznych, którzy szczególnie za tej kadencji z dużą trudnością nadążają za coraz to nowymi pomysłami szefa państwa. Dość często w instytutach badawczych i w radach nadzorczych największych koncernów słyszy się narzekania na "humory" na szczytach w Waszyngtonie. Ów brak jasności, połączony z chwiejnością decyzyjną prezydenta, nie działa łagodząco na stronę chińską która nie wie po prostu czego się trzymać. Za poprzedniej administracji Baracka Obamy dało się przewidzieć, że typowym drogowskazem negocjatorów z USA będzie nacisk w kierunku demokracji i poszerzenia praw ludzkich. Teraz Trumpowi na tym przestało zależeć. Liczą się tylko pieniądze i prestiż.

To właśnie chęć podkreślenia prestiżu Stanów Zjednoczonych skłoniła Donalda Trumpa do zorganizowania obchodów Święta Niepodległości 4 lipca w stylu zdecydowanie militarnym, czego nie robiono w stolicy USA przez ostatnich kilkadziesiąt lat. Przyznać trzeba, że na uroczystość przybyło wielu Amerykanów z różnych części kontynentu. Lekką przewagę liczebną mieli zwolennicy prezydenta Trumpa, lecz tym razem szef państwa posłuchał się doradców i w jego przemówieniu nie było kłótniowego lub sarkastycznego tonu i polemik z nieulubianymi politykami; za to sporo historii i ciągłe podkreślanie dumy z bycia obywatelem tak potężnego mocarstwa. Zresztą od dawna wiadomo, że prezydentowi Stanów bardzo imponują mega-defilady - co najmniej takie, jakie przeprowadzają Francuzi co roku 14 lipca. Nie od dzisiaj wiadomo też, że aktualnie w Stanach trwa próba sił między prezydentem, a Kongresem USA oraz niekiedy także i sądami. Ostatnio szef państwa otacza się tylko tymi prawnikami, którzy wyznają zasadę niepodważalności władzy szefa Białego Domu. Do takiego przywódcy pasowałaby raczej taka parada wojskowa jakiej odbywają się kilka razy w roku w stolicy Korei Płn. Opozycja kpiąco mówi o prezydencie jak o nowym imperatorze chcącym mieć właściwie władzę królewską. A przecież to przeciwko temu - jak wiadomo - zbuntowali się koloniści angielscy przed 240 laty. Temu czy owemu z naszych kuzynów zdarza się dziwić jak silną pozycję w USA mają prawnicy, adwokaci, a zwłaszcza sędziowie. Jest to jednak zrozumiałe. Tylko przez stopniowe wdrażanie poszanowania prawa można było zapewnić spójność kilkunastu stanów, które na początku łączył jedynie język, ale dzieliło wszystko inne - szczególnie religia reprezentowana przez co najmniej tuzin wyznań. Jeżeli kiedykolwiek w przyszłości

lojalność wobec prezydenta USA miała zastąpić praworządność i wierność Konstytucji, to największe supermocarstwo świata przestałoby się różnić czymkolwiek od Rosji, Chin czy np. pół-dyktatorskiej Indonezji. Na razie, trudno ukryć, że Trump szanuje dyktatora Korei Północnej bardziej niż większość polityków Unii Europejskiej.

Jednakowoż są jeszcze kraje na świecie, gdzie zachodni liberalny ustrój parlamentarny też nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I ich obywatele dają głośno o tym znać. Dwa miliony przeważnie młodych obywateli Hong Kongu demonstruje już trzeci tydzień w centrum swojego autonomicznego miasta. Pojawiające się czasem nad tłumem flagi brytyjskie nie oznaczają pustego sentymentu do przeszłości. Raczej można tu mówić o przywiązaniu do praw człowieka w rozumieniu zachodnim. Choć wątpliwe jest zachwianie reżimem w dalekim Beingu czy podważenie przewodniej roli Komunistycznej Partii Chin, to widać jedno: w Hong Kongu - choć nie tylko tam - słowo "demokracja" nie wzbudza śmiechu ani pogardliwego skrzywienia ust. Ciekawe w jakich jeszcze krajach setki tysięcy ludzi wyjdą na ulice aby dać znać, że traktują praworządność jak najbardziej serio?

Na zakończenie - mały delikates z Europy Środowej - bardzo blisko naszego kraju rodzinnego. Oto 23 czerwca w Pradze czeskiej w ogromnym parku rekreacyjnym Letna pojawiło się przeszło ćwierć miliona ludzi z flagami i własnej roboty transparentami po to, aby zaprotestować przeciw wprowadzaniu niekorzystnych zmian w wymiarze sprawiedliwości, przeciw naruszaniu zasad państwa prawa i przeciw korupcji, której jak twierdzą patronuje obecny premier rządu Andrej Babisz. Biorąc pod uwagę, że Czechy liczą sobie przeszło 10 mln. obywateli, można by to porównać do ewentualnej demonstracji w Warszawie z udziałem 1 miliona demonstrantów. Chyba wygląda na to, że mamy sytuację ALBO - ALBO. Albo Czesi nabrali jakiegoś meksykańskiego temperamentu albo nasi krajowi kuzyni z ściągniętą angielską flegmą zaczęli letnią kanikułę dwa tygodnie za wcześnie. Zatem życzymy im - miłych wakacyjnych snów.